Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 14 (364) *WARSZAWA, 31 lipca 1926 r.* ROK XIX



Nr. 14 (364) Warszawa, 31 lipca 1926 r. Rok XIX

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

wychodzi dwa razy miesięcznie 1-go i 16-go.

OD REDAKCJI.

Prawno-techniczne względy nie pozwoliły nam jeszcze na wydanie numeru o podwójnym tytule: „Łowiec Polski, Przegląd Myśliwski i Łowiectwo Polskie". Mamy nadzieję, że nastąpi to od przyszłego numeru.



GROZNE NIEBEZPIECZENSTWO.

JAN SZTOLCMAN.

ŻUBR,

jego historja, obyczaje i przyszłość.

(Zob. Nr. 12).

P. Gliński w następujący sposób opisuje pasorzyta oraz przebieg choroby motylicy. „Jest to glista*) na 16 do 32, a nawet do 42 mm. długa, a na 6 do 12 gruba. Po bardzo wielu metamorfozach glista ta z przewodów pokarmowych dostaje się do kanałów żółciowych oraz do woreczka żółciowego, gdzie rozmnaża się do 100 i 200 nawet jednostek, powodując nieuleczalne zapalenia wątroby. Na Islandji jakoby**) i ludzie podlegają tej chorobie. Choroba ta pojawia się wyłącznie w miejscowościach niskich, błotnistych, na mokrych pastwiskach, w jakie Białowieża obfituje. Porażone nią żubry stają się powolnymi, apatycznymi, tracą apetyt, gdy pragnienie jednocześnie się zwiększa. Zjawia się gorączka, skóra przestaje być jędrną, oko blask traci, sierść zaczyna wypadać, na głowie i gardle pojawia się puchlina. Żubr dostaje kaszlu i biegunki i po 3 do 5 miesiącach najwyżej — zdycha. Leczenie choroby jest bardzo trudne. Leczyć za pomocą środków, podtrzymujących skład krwi, jak np. żelaza oraz gorzkich przetworów i roślin — można; do tego jednak potrzeba stałych kilku weterynarzy, których w Białowieży brak było." Dodać należy, że tego roku (1908) lato było niezwykle upalne i suche.

Według Auera padło na motylicę w okresie czasu od 1873 do 1892 sztuk 65, a mianowicie: 40 byków i 25 krów. Figurują one w tabelach Büchnera jako padłe „z niewiadomej przyczyny". Dużo padło w 1884 roku, bo 9 sztuk, a najwięcej w 1892 roku — bo 20 sztuk.

Z przytoczonych faktów niepomiernego rozmnożenia się zwierzyny grubej widocznem jest, że w Białowieży od 1889 roku zaprowadzono sztuczną hodowlę zwierzyny, co się także potwierdza faktem prawie kompletnego wytępienia większych czworonogów, jak niedźwiedzie, rysie i wilki. Zrazu administracja rosyjska miała widocznie zamiar zostawić Puszczę samej sobie jako wielki rezerwat, gdyż w roku 1825 zabroniono strzelania wszelkich drapieżników, co w połączeniu ze skasowaniem cięć drzewa naprowadza na myśl, że Białowieża miała być wielkim rewirem ochronnym, w którym tylko żubry miano na widoku. Gdy jednak w ciągu, względnie krótkiego czasu zostało zadartych przez wilki 54 żubry, zaczęto tępić wielkie drapieżniki i w 1829 roku zabito 36 wilków w okresie od lipca do września.

W urzędowych tablicach znajdujemy liczbowe dane co do szkód, jakie w Białowieży czyniły niedźwiedzie i wilki. Według tablicy I (1832 — 1872 r.) wilki zadzierały rocznie 1 do 8 żubrów, a niedźwiedzie 1 do 5. Według tablicy II (1872 — 1892) wilki zjadały rocznie 1 do 3, a kłusownicy zabijali 1 do 6.

Tępienie drapieżników prowadzone było systematycznie. Już około 1880 roku wyginęły zupełnie rysie i niedźwiedzie. Według danych urzędowych w 1870 roku zabito: 1 niedźwiedzia, 5 rysiów, 40 wilków; w 1871 r. — 1 niedźwiedzia, 4 rysie i 63 wilki. Wilki stałe zostały wytępione w Białowieży pod koniec siódmego dziesiątka lat zeszłego stulecia i odtąd spotykało się już tylko wilki przechodnie. Widzimy to po rezultatach polowań: w roku 1889 zabito już tylko 1 wilka, w 1890 — 5, w 1891 — 6. Od roku 1873 do 1893 wilki rozszarpały tylko 10 żubrów, co stanowi bardzo mały procent (średnio 1 żubr zadarty na 2 lata). Jednem słowem od ósmego dziesiątka lat zeszłego stulecia można uważać drapieżniki za wytępione na tyle, że nie są już one czynnikiem powodującym ubywanie żubrów.

Lecz z chwilą usunięcia tego czynnika bądź co bądź regulującego w znacznym stopniu stan ilościowy i jakościowy żubrów przez dobór naturalny, jak to wyżej zaznaczyłem, należało go zastąpić innym, któryby równoważył ilościowo obie płcie, a także usuwał osobniki chorowite lub źle rozwinięte. Takim czynnikiem — powtarzam — jest **prawidłowy odstrzał**, którego w Białowieży nigdy nie stosowano. A jednak liczni autorowie, traktujący o Białowieży, wskazywali, że byków bywało zawsze dwa razy więcej, aniżeli krów; należało więc co roku odstrzeliwać znaczny procent, zwłaszcza byków starych, które do rozpłodu są nieodpowiednie, gdyż nie dopuszczają do krów młodszej generacji, a same jako niepłodne lub małopłodne nie są w stanie pokryć skutecznie wszystkich krów, jakie mają do dyspozycji, przez co część ich pozostaje niezapłodnioną. Wprawdzie Büchner był przeciwnego zdania, stawiając za argument, że „stare byki, czyli t. zw. „odyńce" podczas rui przyłączają się do stad, że przeto krowy mają sposobność zadawalania swych popędów z młodszymi bykami", ale właśnie dla tego, że stare byki przyłączają się do stad, mają one sposobność niedopuszczania młodszych do pokrywania krów. Zresztą taki znawca tych spraw, jak dr. Escherich, wytykał właśnie byłej administracji łowieckiej w Białowieży, że nie dbała o odstrzeliwanie samców, a zwłaszcza starych, niepłodnych.

Kłusownictwo pomimo bardzo surowych kar wyrządzało w Białowieży od dawien dawna dotkliwe szkody w zwierzostanach żubrów. Widzieliśmy, że za polskich czasów istniała za zabicie żubra bez pozwolenia królewskiego kara śmierci, która zresztą nigdy nie była stosowaną. W pierwszej połowie zeszłego stulecia, więc już pod rządem rosyjskim, zabicie żubra powodowało zesłanie na Sybir. Od wprowadzenia nowej Ustawy łowieckiej dla cesarstwa rosyjskiego w 1892 r. karano zabicie żubra grzywną 500 rb., do której dołączano jeszcze koszta wychowania żubra, wynoszące około 2.500 rb., co razem z karą reprezentowało sumę 3.000 rb., często niemożliwą do zapłacenia przez kłusownika, który tym sposobem widział się zrujnowanym. Prawo więc było wystarczające do ukrócenia, a przynajmniej ograniczenia kłusownictwa, ale na nieszczęście, wykonanie jego było w wysokiej mierze niedostateczne, czy to wskutek niedbalstwa miejscowej straży, czy też wprost wskutek współdziałania tejże z miejscowymi kłusownikami lub, co gorsza, oddawania się samej kłusownictwu. Już sam fakt, że w tabelach urzędowych za lata 1832 do 1872 czyli przez ciąg 40 lat niema wcale wzmianki o sztukach, zabitych przez kłusowników, dowodzi, jak mało zwracano uwagi na ten poważny czynnik tępienia żubrów. Dopiero, jak powiada Büchner, mniej więcej w dziewiątym dziesiątku lat zeszłego wieku administracja przedsięwzięła energiczne środki w celu ukrócenia kłusownictwa; lecz i wówczas nawet powszechnie utrzymywano, że kłusownictwo w dalszym ciągu grasuje i żadne wesele córek okolicznych gospodarzy nie obyło się bez żubrzyny na weselnym stole.

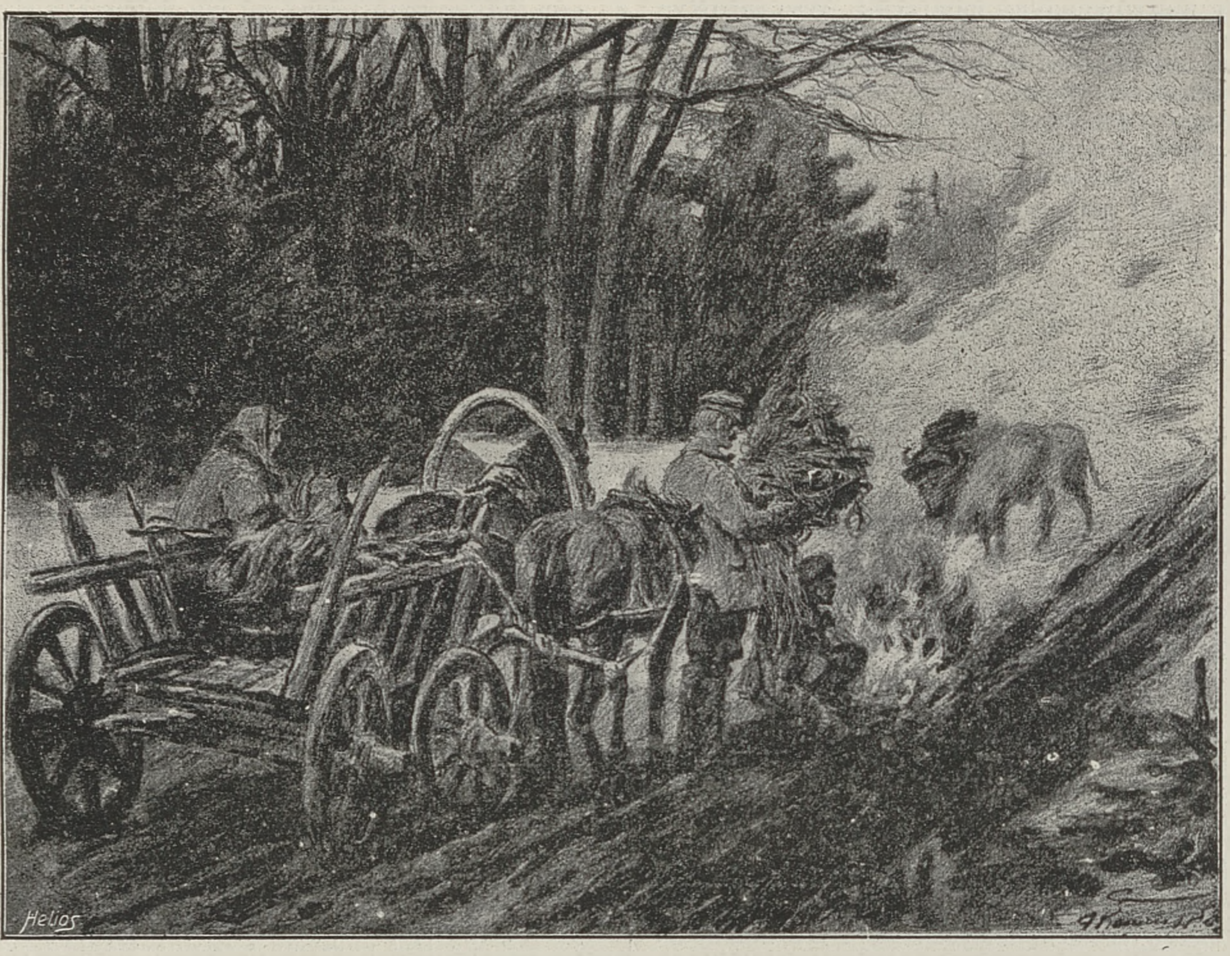
Poważne szczerby w zwierzostanach żubrów czyniły **polowania** dworskie i niedworskie, oraz **łowienie** żubrów dla różnych zwierzyńców i ogrodów zoologicznych; i to nie tyle przez ubytek za-

*) Oczywiście nazwa nieścisła, gdyż motylica należy do przywr (**Trematodes**), a nie do nicieni (**Nematodes**).

**) Że i człowiek ulega zarażeniu motylicą, jest rzeczą od dość dawna już niezbicie stwierdzoną.

bitych lub złowionych zwierząt, ale przez uszkodzenie sztuk niepodlegających łowieniu. Żubry pędzone przez liczne rzesze obławników, wpadały w szał, piły często wodę ze źródlisk, co niejednokrotnie śmierć powodowało. Tak np. na polowaniu w 1860 r. padło pod strzałami 28 żubrów, ale w następnym roku liczba żubrów spadła o 128 głów, co przypisać należy faktycznym skutkom naganek.

Wreszcie do znikania żubrów przyczyniały się też bardzo ruchy wojenne. Büchner przytacza, że po roku 1831 to jest po wojnie polsko-rosyjskiej, zwierzostan żubrów w Białowieży spadł o 115 sztuk. W początkach 1863 r. to jest w początkach powstania polskiego liczono 1124 starych żubrów i 127 młodych, a pod koniec tegoż roku było już tylko 795 starych i 79 młodych. Ten ujemny wpływ ruchów wojennych na stan żubrów odbił się najfatalniej podczas ostatniej wojny, o czem będzie poniżej. (c. d. n.)



„ŻUBR". A KAMIŃSKI.

JULJAN EJSMOND.

U źródeł łowiectwa

na ziemiach polskich.

2. Łowca Reniferów.

W drugiej połowie epoki lodowej szaleństwo zimy poczęło łagodnieć.

Dzieje łowiectwa są jeszcze ciągle dziejami młodej ludzkości. Zmieniał się jednak klimat, a z nim zmieniała się śnieżna, groźna i śmiertelnie piękna puszcza.

Ginąć poczęły powoli kudłate mamuty i rude bujnem futrem okryte nosorożce. Wyginęły wielkie koty i zamieszkujące tundrę hipopotamy. Zginął słoń pierwotny, a miejsce tych olbrzymów zajęły stada żubrów, niezliczone tabuny dzikich koni, jelenie, tury, kozły skalne i nadewszystko mnogie renifery. Z wielkich drapieżników pozostały jeszcze na ziemiach naszych lwy i niedźwiedzie, z mniejszych zaś rysie i rosomaki.

Łowcę mamutów zastąpił łowca reniferów, człowieka z Neanderthalu, człowiek epoki Magdaleńskiej, poprzednik dzisiejszych mieszkańców naszego lądu, o subtelniejszej budowie, o wysokim smaku artystycznym, o czulszej duszy i światlejszej myśli.

Łowca reniferów wysilił tę myśl ku pożytkowi łowiectwa, które mu dostarczało skór i mięsa. Kamień, drzewo, muszle, kości i róg, przerabia na broń myśliwską. Z wieńców i kości renifera tworzy igły, ostrza dzid, noże, sztylety, harpuny.

Tak jak broń pierwotną wzorował dziki myśliwiec na przyrodzonej broni drapieżników, tak samo taktykę łowiecką począł doskonalić, wzorując się na postępowaniu dzikich zwierzat.

U źródeł tej taktyki spotykamy nietylko liczne typy polowań wieków poźniejszych, ale również wszystkie główne elementy późniejszej taktyki wojskowej, której początków szukać należy w taktyce łowieckiej świata zwierzęcego.

Dziki myśliwiec nie pojął jednak, iż łowca w walce ze zwierzętami może sobie znaleźć dzielnych i cennych sprzymierzeńców wśród zwierząt-myśliwych: w wykopaliskach magdaleńskich niema śladu psa.

Lisy polarne biegły za leśnym łowcą, gdy sprawiał rzezie mamutów i reniferów, szakale postępowały za nim krok w krok, jak za polującym lwem, by posilić się krwawemi resztkami jego łowieckiej uczty. Lecz wierne psie serce nie biło jeszcze w takt jego serca.

Łowca reniferów dzień cały spedzał na łowach. Gdy zaś szalejące burze śniegowe nie dozwalały mu polować przy ognisku jaskiń magdaleńskich z tęsknoty łowieckiej pierwotnego człowieka na

ścianach grot powstawać poczęły podobizny zwierząt łownych jego ręką stworzone, jego duszą wyczarowane. Stoimy u źródeł malarstwa i rzeźby.

Łowca reniferów malować począł czarnym manganem, węglem, kredą i ochrą czerwonobure mamuty, żubry, renifery, dziki, niedźwiedzie, dzikie konie i kozły skalne. Z rogu renów i z kości mamutów rzeźbić począł kształty zwierzęce, do których tęskniła jego myśliwska wyobraźnia.

A jako malarz i jako rzeźbiarz zwierzęcych postaci był niezrównanym mistrzem. Wyczarowywał więc na skale jaskini pokryte długim futrem, zbrojne w potężne kły, ogromem swym przytłaczające mamuty. Świetnie odtwarzał żubry o groźnych rogach — zwinnych nogach — uosobienie pierwotnej, nieokiełznanej mocy, i pancerzem okute straszliwe nosorożce, i dziki mistrzowsko pochwycone w ruchu, i lekkonogie konie. Rzadziej spotykamy na ścianach pieczar niedźwiedzie, kozły i wilki, lisy i rosomaki, jelenie i łosie, tury i suhaki....

Łowca reniferów czcił przyrodę, a niektóre ze zwierząt leśnych uważał za opiekunów swego rodu... Kto wie, czy podobizny zwierząt w grotach magdaleńskich nie są obrazami stworzeń opiekuńczych plemienia, odpędzających od skalnego osiedla złe duchy i nieszczęścia. Stoimy u źródeł magii, przesądów i zabobonów łowieckich.

Przesądy łowieckie mają swoje przedziwne piękno i chwytający za serce urok. Dlatego póki łowieckie serca bić będą — zabobon nie zginie. Jego piękno tkwi w tej dzikiej pierwotności, która jest czarem łowiectwa.

Pierwotny człowiek w puszczy otoczony ogromem złej i groźnej przyrody, w śmiertelnych i śmiertelnie pięknych zapasach, których stawką było jego życie, wysilał myśl, by pojąć bezmiar otaczających go wydarzeń.

A nie mogąc dojrzeć słońca w mroku niewiedzy, w ciemnościach tajemnic, wkroczył tam, jak do czarnego wnętrza jaskini, z płonącą i świecącą żagwią, która mu mrok rozjaśniła: żagwia ta w ręku pierwotnego łowcy był myśliwski zabobon.

Powoli po tysiącach i tysiącach lat ludzkość wyszła na światło dzienne z mrocznych otchłani jaskiń i ciemnych grot.

Lecz nieraz, gdy mrok zapadnie lub jakiś zakątek myśli ludzkiej cienie jeszcze pokrywają, człowiek bierze do rąk dawną żagiew — zabobon prastary — celem rozświetlenia ciemności.

I w tej pierwotnej niepożytej mocy przesądu jest jego urok i dzikie piękno.

C. d. n.

Nowa placówka polska w Kongo.

Powołaniem człowieka być zdobywcą na ziemi. Ujarzmia więc przyrodę dla wyzyskania jej sił w każdym kierunku, urabianie zaś podstaw do dobrobytu materjalnego, daje mu możność pracy w dziedzinie umysłowości i psychiki. Przytem człowiek, stając do walki z trudem, znojem, nieraz z niebezpieczeństwem, gdy je pokonać zdoła, czując się zwycięzcą, doznaje prawdziwej radości.

Polacy na ogół nie lubili oddalać się od macierzy; mieli w tym kierunku rodzaj opieszałości. Rzadko kiedy widzimy ich w roli pionierów cywilizacji, het! daleko za morzami, na pastwiskach Australji, lub w pustyniach i puszczach Afryki. Jednakże i u nas zaczyna się rozbudzać duch samodzielności, żądny odkryć. Świeży nam tego daje dowód, nowa placówka w Kongo, zajęta przez dwóch dzielnych Polaków.

Młodziutki porucznik Wojsk Polskich, Konstanty baron Hartingh, wziąwszy długoterminowy urlop z armji, oraz przyjaciel jego Adam Rudziński, obaj żądni przygód i wrażeń, wybrali się z Antwerpji do belgijskiego Konga.

Podróż morska do wysp Kanaryjskich trwała pięć dni; wypocząwszy tam dobę, popłynęli dalej ku wybrzeżom Afryki i stanęli po upływie dni czterech w Porcie Boma, będącym kluczem posiadłości belgijskich w tej części świata.

Chcąc się dostać do głębi kraju, należy się dobrze namozolić. Niema tam ani gościńców, ani traktów bitych. Nieraz trzeba błądzić, nakładać drogi, rozpytywać się spotkanych murzynów o kierunek marszu.

Wędrówka ta odbywała się rozmaicie, to na wielbłądach, to pieszo, aż wreszcie dotarli do jeziora Albertis, gdzie młodzi ludzie postanowili się zatrzymać, licząc, że zostaną osadnikami, nabywszy leżące opodal jeziora spore parcele gruntu, przeznaczonego na cele osadnictwa przez rząd belgijski.

Wypadło im jednakże być z początku terminatorami w tej pracy. Chwycili się więc roli dozorców osad, dla nauczenia się murzyńskiego narzecza i zapoznania się z warunkami gospodarczemi.

Dało im to możność niezłego zarobku. Po dwóch miesiącach, mając już trochę uciułanego grosza, przy zapomodze rządowej mogli już nabyć kawałek ziemi. Ponieważ hodowla ryb najmniej kosztuje, umyślili wykorzystać w tym celu bliskość jeziora Albertis. Sprowadzili więc z Europy sieci i założyli gospodarstwo rybne na większą skalę. Zbudowali obok suszarnię dla wędzenia ryb, które w każdej formie stanowią główne pożywienie tubylców, — z tego więc źródła mogli jaki taki dochód osiągnąć.

Nie wystarczała im jednak praca około stawiania domu mieszkalnego, budynków gospodarczych, założenia ogrodu, uprawiania pola. Pociągało ich niebezpieczeństwo. Igranie z ogniem ma zawsze swój powab, przywędrowali przecie w te odległe strony, aby popróbować czegoś niezwykłego, wyjść z banalności życiowej.

Afryka jest ulubioną siedzibą słoni, a rząd belgijski, ceniąc wielce kość słoniową, udziela chętnie pozwoleń na te łowy, pod warunkiem, aby mu dostarczano po taniej cenie kość słoniową. Skóra, mięso i ogony należą do myśliwych.

Młodzi ludzie postanowili zatem spróbować tego rodzaju sportu. Rząd belgijski dał im dwóch przewodników, murzynów obytych z tem polowaniem, umiejących dać myśliwym skuteczną pomoc w razie niebezpieczeństwa.

Łowy takie trwają zazwyczaj kilka tygodni. Rodacy nasi posuwali się w głąb kraju, przechodząc przez piaszczyste pustynie, to znowu przebijając się z trudem przez zarośla i gąszcze afrykańskiej dżungli.

Wyekwipowani byli dobrze i praktycznie, a więc podręczne namioty, rozbijane na dłuższych postojach, zapasy herbaty, kawy i sucharów, parę rondelków dla przyrządzania na prędce strawy na postojach, no i pieczołowicie strzeżony aparat fotograficzny.

Strzelby mieli wyborne, rodowite Winchesterki o kulach dużego kalibru, które są w stanie przebić nietylko grubą skórę słonia, ale nawet i hipopotama. Pełni humoru, żądzy życia, młodzieńczego zapału, przyswoili sobie również i nieodzowną dla myśliwych cnotę: cierpliwość.

Na znak dany przez przewodnika, podchodzą po cichutku do słonia, który niebacznie odłączył się od gromady i z dwóch stron godzą w olbrzymie zwierzę.

W taki sposób w przeciągu kilku tygodni, młodzi rodacy nasi ubili siedemdziesiąt trzy słonie....!

Jak widać z załączonej fotografji, na siedemdziesiątym trzecim siedzi jego pogromca p. Konstanty Hartingh. Cieszy się widocznie z osiągnięcia tak pokaźnej liczby.

Niezawsze jednak łowy takie obywaja się bez przygód, to też myśliwi nasi niejednokrotnie znaleźli się w opałach i z trudem tylko uszli niebezpieczeństwa.

Pewnego razu naprzykład odpoczywali w namiotach, chcąc przed wyjściem na rekonesans, posilić się na prędce przygotowaną strawa. Nagle jeden z przewodników dał im znak, wymownym gestem wskazując na rzekę. Zdala dał sie słyszeć złowrogi tentent nóg słońskich, nadchodziło całe stado olbrzymów i należało się śpieszyć z ucieczką, nie chcąc być rzuconym na pastwę groźnym zwierzętom, które byłyby ich niechybnie roztratowały... Taka śmierć bez chwały nie przypadała im wcale do smaku... Należało tedy z cała energją

Mięso słonia stanowi delikatny przysmak dla tubylców, zarówno jak i ogony. Skóra, jak powszechnie wiadomo, poszukiwana jest bardzo dla celów przemysłowych. Tak więc łowy te przynoszą korzyść zarobkową, są one jednocześnie i szkołą hartu zarówno dla ducha jak i dla ciała.

Organizm wzmacnia się pod wpływem dobroczynnego działania słońca, odświeża sie w ciągłym ruchu, przywykając do niewygód, staje sie mniej dostępnym dla zaziębień, odporniejszym dla wszelkich dolegliwości. Duch zaś wzrasta w sile, opanowując ciało, które wówczas gra role posłusznego woli jeźdźca wierzchowca.

Doświadczenia życiowe są najlepsza szkołą, — niema się bowiem do czynienia z teorją, ale z praktyką. Najlepiej się pamięta to, co sie odczuło, przeżycia takie są szkołą doświadczalną, darzącą przytomnością umysłu i cnotą roztropności.

Maria z Przezdzieckich Walewska.



i przytomnością umysłu pomyśleć o sposobie odwrotu.

Jęli tedy biec szybko a cicho w stronę rzeki, w której nurty rzucili się, nie wymawiając ani słowa, aby nie zdradzić swej obecności, zanurzeni zaś w wodzie obawiali się najlżejszym ruchem nawet zbudzić czujność wroga, ponieważ słoń obdarzony jest wybornym słuchem.

Całe obozowisko pozostało na pastwę najeźdźcom.

— Byle bestjom nie przyszło do łbów cisnąć się za nami w wodę — myśleli, wytężając słuch. Na szczęście jednak stado złożone z czterdziestu rosłych słoni, miało widać inne zamiary, minęło bowiem obóz i poszło przed siebie w głąb dżungli.

Schowanym w wodzie myśliwym sekundy i minuty wlokły się z nieznośną powolnościa. Wreszcie ukryci w zaroślach przewodnicy dali znak, że stado oddaliło się już i młodzi ludzie mogli wreszcie wyjść z tak mało pożądanej kapieli.

Sposoby wabienia.

Najlepszym środkiem sprowadzenia kozła podczas rui, jest zwabienie go za pomocą beczenia. Kto tego nie potrafi wykonać przy pomocy liścia z gruszki lub bukowego, temu radzimy użyć odpowiedniego ku temu, sztucznego przyrządu. Najważniejszą rzeczą podczas wabienia będzie, by kozioł nie zbliżał się do nas, idąc pod wiatr wiejący z naszej strony. Dobrze jest, jeżel w kniei są zawczasu przygotowane, nieco wzniesione stanowiska, inaczej trzeba szukać miejsca, które przedstawia także dość odkrytej przestrzeni do strzału, co zawsze łatwo znaleźć.

Zatrzymamy się nad pewnymi szczegółami bekania, które często jest jedynym sposobem zdobycia cennych parostków.

Po przybyciu na miejsce, gdzie zamierzamy wabić, przez pierwsze pół godziny należy zachowywać się spokojnie. Dopiero po upływie tego

czasu można rozpocząć muzykę. Muzyka ta naturalnie polega na naśladowaniu pisku kozy i powinna się odbywać w sposób następujący:

Naprzód trzeba beknąć dwa razy z dwusekundową pauzą między każdem beknięciem, potem 10 sekund pauzy, następnie należy beknąć trzy razy z trzysekundowymi odstępami pomiędzy każdem beknięciem, potem znów pauza 10 sekund, i znów beknąć dwa razy, jak poprzednio, tak, że całość przedstawiać się będzie w sposób następujący: bek — *2* sekundy, bek — 10 sekund, bek — *3* sekundy, bek — 3 sekundy, bek — 10 sekund, bek — *2* sekundy, bek — pauza od dwuch do trzech minut, po upływie których znów należy powtórzyć całą poprzednią serję.

Czasami kozioł nadbiega jak szalony, zaraz po wydaniu pierwszych tonów. Przed laty zdarzył się wypadek, który warto opowiedzieć. Podczas przechadzki po kniei wszedł myśliwy na wywyższone stanowisko, znajdujące się na brzegu poręby. Była trzecia po południu i słońce jeszcze paliło okropnie. Myśliwy wydobył liść bukowy, który przyniósł z sobą w blaszanem pudełeczku, i zaczął wabić. Śród poręby znajdował się mały stawek obrośnięty sitowiem; zaraz po pierwszych tonach wyszedł z niego dość okazały kozioł i zaczął się rozglądać. Zaledwie myśliwy zdołał zabeczeć po raz drugi, kozioł ostrym kłusem ruszył ku niemu i dostał kulę. Większość kozłów podchodzi bardzo ostrożnie, niektóre zaś okrążają myśliwego, by pochwycić wiatr, i gdy poznają się na podejściu, wtedy bywaj zdrów, mój koziołku! i to może na zawsze. Jeżeli kozioł nie przychodzi pomimo beczenia, wtedy nie należy jeszcze wnioskować, iż niema go w pobliżu. Większość kozłów przebywa w towarzystwie młodych kóz i jest po części zaspokojoną. Nie należy wszakże zniechęcać się tem, gdyż nasza płowa zwierzyna wydaje jeszcze tony innego rodzaju, mianowicie krzyk bojaźni. Kozy zwykły go wydawać wtedy, gdy roznamiętniony kozioł zbyt ostro zaczyna nacierać dla zdobycia sukcesów miłosnych. Krzyk bojaźni przyrząd Buthola oddaje doskonale; krzyk ten wzbudza wściekłość nawet w najprzebieglejszym koźle. Podrażniona zazdrość pędzi go nam przed lufę. Zwykle są to okazałe i świadome swej siły kozły. Słysząc bowiem krzyk bojaźni, kozioł rozumie, co się święci, i wie, że przyjdzie mu stoczyć pojedynek ze swym rywalem. Dlatego też na krzyk bojaźni biegną tylko najokazalsze kozły, jakie w danej chwili znajdują się w rewirze. Słabe kozły nie mają odwagi reagować na posłyszane głosy, obawiając się, by przy tej okazji czego nie oberwały.

Nietylko zwierzyna płowa reaguje na beczenie, ale także i inne stworzenia, zwłaszcza drapieżne. Beczenie tęskniącego za matką koźlęcia nieraz już zwabiło lisa. Niektóre koty znają się także na tym głosie.

Bardziej niż na bek sarny, reagują drapieżniki na kniazienie zajęcy, i każdy myśliwy, który własnym głosem nie umie wyśpiewać zajęczej pieśni, powinien nosić przy sobie przyrząd, na którym może to uskutecznić. Przyrząd ten zwabi ku niemu cichych zwolenników myślistwa, zaczawszy od drobniutkiej łasiczki, aż do polujących, dużych kotów, od sroki aż do jastrzębia — gołębiarza.

KAZIMIERZ ŚWIDERSKI.

Huzia na pointera.

W artykule „Pointer czy szorstkowłosy" (patrz „Przegląd Myśliwski i Łowiectwo Polskie" Nr. 10 str. 152) p. Ignacy Jasiński ze Strzelna, właściciel „Hodowli z nad Gopła", podjął się rozwiązania zagadnienia, który z wyżej wspomnianych rodzajów psa legawego jest lepszy? W myśl zasady: „każdy kupiec swój towar chwali" w artykule p. Jasińskiego, naturalnie szorstkowłosy bije na każdym kroku pointera. P. Jasiński jest o tyle łaskaw dla biednego angleza, że przyznaje, iż bez pointera nie byłoby wcale dzisiejszego szorstkowłosego. Ten ostatni bowiem, odziedziczył od pointera, w drodze krzyżowania, figurę, temperament i wiatr, **utrzymując jednocześnie właściwości dawnego wyżła niemieckiego,** widocznie bardzo drugorzędne, bo autor ich nawet nie wymienia. Przelanie na szorstkowłosistego trzech powyższych zalet, t. j. figury, temperamentu i wiatru nazywa p. Jasiński „pewną zasługą" pointera.

O zasadniczej kwestji ewentualnej wyższości jednej z dwu wymienionych ras będę mówił pod koniec niniejszego artykułu. Przedtem chciałbym do argumentów p. Jasińskiego parę uwag dorzucić.

Twierdzi p. Jasiński, że sztuka pointera kończy się zwykle w polu na szukaniu kuropatw. W tej sprawie odsyłam Autora do literatury szwedzkiej i rosyjskiej za ostatnie trzydzieści pięć lat.

Dalej utrzymuje p. Jasiński, że zaledwie co dziesiąty pointer aportuje kuropatwę, nie reagując wogóle na grubszą zwierzynę.

I jedno i drugie jest błędne. Pod wpływem myśliwych angielskich, którzy nie wymagali od pointera aportowania, posiadając dla tego celu psy rasy specjalnej, rozpowszechniała się ta sama moda i wśród myśliwych kontynentalnych, aczkolwiek nie wszystkich. Mogę polecić p. Jasińskiemu zwrócić się z zapytaniem do p. Ludwika Badury z Zebrzydowic, który układał kolejno trzy czystej krwi pointery będące własnością pewnego hodowcy z Kongresówki. Otóż dwa starsze z tych psów namiętnie aportują zarówno na suchem jak i z wody każdą zwierzynę, o ile ta ostatnia nie jest nad siły psa, a więc do królika włącznie. Trzeci pies, najmłodszy, również rokuje w tym względzie jaknajlepsze nadzieje. Wobec powyższego twierdzę, że tylko nieukładany w kierunku aportowania pointer nie przynosi zabitej zwierzyny.

Co do grubszych sztuk, to trudno wymagać, aby pointer, stanowiący, przy najproporcjonalniejszej nawet budowie, dość nikłą masę w porównaniu z szorstkowłosym, mógł aportować większego zająca lub lisa. Jestto fizyczne niepodobieństwo, ale bynajmniej nie wada psa danej rasy.

Dla przekonania czytelników p. Jasiński odwołuje się do sprawozdań z popisów wyżłów dowodnych z roku 1922 w Głuszynie i Piotrowie. Dla mnie najlepszem sprawozdaniem z tych popisów są moje osobiste wrażenia. Ponieważ były to pierwsze po wojnie próby polowe wyżłów w Polsce, więc pojechałem, aby zobaczyć jak te sprawy traktowane są w Wielkopolsce. Spotkałem na tych popisach znanego myśliwego, p. pułkownika D-ra Marjana Obniskiego z Kijowa, zamieszkującego obecnie w Bydgoszczy. Obaj, polując całe życie z psami angielskimi, ciekawi byliśmy zobaczyć pracę wyżłów rasy niemieckiej. Dzień cały upłynął na nieznanych nam dotychczas praktycznie próbach, wykonywanych zresztą przez egzaminowane psy zupłenie poprawnie, co świadczyło o wysokim stopniu tresury.

Z niecierpliwością oczekiwaliśmy na pracę w polu. Kolej na ten najważniejszy, dla mnie przynajmniej, szczegół przyszła już pod sam wieczór. Tu dopiero nastąpiło rozczarowanie. Psy nie wykazały ani jakiegokolwiek stylu, ani nawet średniego węchu (znowu z mojego punktu widzenia, gdyż cenzury brzmiały inaczej). Obaj z D-rem Obniskim, a trzeba przyznać, żeśmy widywali w swojem życiu pracę wyżłów w polu na konkursach, odjechaliśmy mocno zdziwieni.

W dalszym ciągu mówi p. Jasiński o braku ciętości u pointerów. Znowu odsyłam p. Jasińskiego do p. Badury, który płacił odszkodowanie właścicielom kotów, zaduszonych przez będącego u niego w tresurze, jednego z wyżej wspomnianych anglików. Trzeba jeszcze dodać, że koty te były duszone nie w rewirze, lecz we wsi, w biały dzień. Jakiej to potrzeba ciętości i zręczności, żeby zadusić kota pomiędzy chatami, drzewami i płotami, mogącemi doskonale służyć za schronienie dla atakowanego drapieżnika.

Widzimy więc, że i w tym zakresie nie jest pointer niedołęgą.

Zapytuje dalej p. Jasiński, dlaczego nikt się nie odważył stanąć do konkursów wyżłów dowodnych z pointerem? Otóż nie dzieje się to dla braku odwagi, lecz z tej przyczyny, że niektóre czynności, wykonywane przez wyżły niemieckie, są absolutnie niedostępne dla pointera, jak np. aportowanie zbyt wielkiego ciężaru, o czem wspomniałem wyżej etc. Poprostu amator pointera zdaje sobie z tego sprawę i wcale od swego psa podobnych czynności nie wymaga, a tem samem nie może go posyłać na konkurs, który obejmuje i ten warunek.

Najciekawszym argumentem p. Jasińskiego, który cytuję dosłownie jest następujący: „Że w wyżłach, u nas (prawdopodobnie Autor myśli o Wielkopolsce) rozpowszechnionych, mamy doskonałe okazy pod względem budowy **i inteligencji** (!!) niech służą, jako dowód, fotografje, zamieszczone w „Przeglądzie Myśliwskim“. Ocena inteligencji psiej z fotografji to naprawdę coś niezwykłego. Szkoda, że p. Jasiński nie każe swoim psom szczekać przed radjo-aparatem nadawczym celem zapoznania ogółu myśliwskiego z inteligencją jego psów za pomocą wrażeń słuchowych. To byłoby jeszcze bardziej „moderne“.

A teraz w myśl obietnicy uczynionej powyżej przystąpię do zasadniczej odpowiedzi na wywody p. Jasińskiego. Rozumiem, że z góry wydaję na siebie wyrok niekorzystny, bo p. Jasiński w końcu swego artykułu pisze: „Prawdziwy znawca i amator przyzna, że polemika moja dotycząca wyższości szorstkowłosistego wyżła nad pointerem jest umotywowana“. Trudno, więc nie jestem, znaczy, ani znawcą ani amatorem, ale kategorycznie zaznaczam, że z wywodami p. Jasińskiego nie zgadzam się.

Czytelnik sobie pomyśli, że ma do czynienia z wrogiem nieprzejednanym szorstkowłosistego. Otóż wcale nie! Przyznaję wszechstronne zalety tego psa. Ale p. Jasiński stawia pytanie: „Pointer czy szorstkowłosisty?“ Pan Jasiński porównał dwie rzeczy niewspółmierne. Szkoda wysiłku p. Jasińskiego i jego argumentów, bo sam temat jest ujęty niewłaściwie. Gdyby szorstkowłosisty, prócz wyliczonych przez p. Jasińskiego zalet posiadał jeszcze sto innych — pointer konkurencji szorstkowłosistego nigdy obawiać się nie będzie. Tak samo jak i między myśliwymi są różni, bo jednemu imponują rozkłady w kotłach lub w nagankach na króliki, a inny pojedzie raz do roku o tysiąc kilometrów, aby ubić na toku głuszca lub parę cietrzewi, tak samo są różne wymagania i co do psów. Ten i ów myśliwy będzie zadowolony z systematycznej i wielostronnej pracy szorstkowłosistego a niejeden nie rozumie polowania inaczej niż z pointerem, względnie z innym psem rasy angielskiej.

Pan Jasiński uważa za konieczne przekonywać czytelnika o wyższości szorstkowłosistego, a ja, jako zwolennik pointera, bynajmniej nie narzucam nikomu moich zapatrywań. Niech każdy zostanie przy swojem! Uważam tylko, że pointerowi, a i wogóle angielskiemu psu należy się obrona i mam nadzieję, że nie będę w mojej intencji odosobnionym.

Z kolei chciałbym wyjaśnić dlaczego my niektórych usług od pointera nie wymagamy, a natomiast czego w szorstkowłosistym nie znajdujemy.

Otóż pomimo, iż dowiodłem wyżej, że pointer także przy odpowiedniej tresurze może być cięty— nie wymagamy tego od naszego poczciwego anglika, ponieważ spotkanie z drapieżnikiem w polu należy do rzadkości. Uprawiając łowiectwo przeszło dwadzieścia jeden lat, nie spotkałem nigdy, polując z wyżłem, lisa, natomiast kota raz jeden tylko. Czem się to dzieje? Wiadomo, że zarówno lis, jak i kot, żerują tylko w nocy. Jedynie więc o szarym świcie są szanse spotkania wracającego z wyprawy nocnej drapieżnika. Olbrzymia większość myśliwych o tej godzinie nie poluje. To jest pora dla straży łowieckiej, aby była na stanowisku. I tylko tej straży pies cięty na drapieżniki jest rzeczywiście potrzebny i prawdziwie użyteczny.

Pointery są bezwątpienia rasą delikatniejszą od wyżłów niemieckich. Jednakże taki północny kraj, jak Szwecja, posiada dziś bodaj, że najlepsze w Europie użytkowe pointery. Tak samo w całej Rosji, bo nawet i na Syberji pointer jest bardzo rozpowszechniony. Trudno przypuścić, aby zarówno w Szwecji jak i w Rosji nigdy się nie zdarzyło pointerowi iść do wody późną jesienią. Czyli że i tu kwestja odpowiedniego zahartowania tylko rolę odgrywa. Niewątpliwie jednak szorstkowłosisty ma tu przewagę nad pointerem, zarówno jak i w zachowaniu się na nagańce, do czego pointer używanym nie bywa, chyba w pojedyńczych wypadkach, o których zresztą nie zdarzyło mi się nigdy słyszeć. Gdy jednak przejdziemy do stylu pracy w polu — tu się zaczyna kompletna porażka szorstkowłosistego. Nie mówię już o przewadze wiatru i wytrzymałości. Chodzi mi głównie o piękno tej pracy. Podczas gdy najlepszy szorstkowłosisty przy robocie czyni wrażenie tylko wykwalifikowanego i uczciwie pracującego rzemieślnika—w pointerze i wogóle w angielkim psie mamy niedoścignionego wirtuoza, którego praca jest grą, wykonywaną z niezaprzeczonym artyzmem.

Stójki angielskiego psa, wśród których na sto niema dwu jednakowych, są porywające — tamujące oddech w piersiach widza — myśliwego.

Psy angielskie na stójce niejednokrotnie służyły jako temat dla wybitnych malarzy (Blinck). Tematu myśliwskiego, upiększonego stójką wyżła rasy niemieckiej, nie zdarzyło mi się widzieć nigdy.

Piękno pracy angielskiego psa szczególniej uwydatnia się na terenie błotnym. Wieleż to razy myśliwy, oczarowany pracą swego ulubieńca-anglika nie uchwycił momentu dogodnego dla strzału i w ten sposób zmniejszył sobie rozkład. Ale to drobiazg! Strzał w polowaniu z angielskim psem to tylko ostatni, króciutki akord, zamykający poprzedzającą go bogatą symfonję wrażeń.

Tych wrażeń szorstkowłosisty nie da. I dlatego artykuł p. Jasińskiego, jeżeli miał służyć ku przerzedzeniu szeregów amatorów pointera, uważać ze spokojem należy za całkowicie chybiony.

WŁADYSŁAW SŁONCZYŃSKI.

W kwestji rdzewienia luf.

(Dok. Zob. Nr. 13.)

W tym kierunku niewielkimi postępami można się pochwalić. Zarządy Wojskowe Niemiec i Anglji, oddawna usilnie pracują nad zrobieniem kapiszona, któryby mniej zgubnie działał na wnętrze luf. O ile wiemy, odnośne prace nie zostały dotąd uwieńczone odpowiednim rezultatem, gdyż wprawdzie wyprodukowano kapiszon, którego pozostałości minimalne tylko mają działanie na rdzewienie luf, ale zato kapiszon ten psuł się bardzo prędko. Szwajcarski kapiszon jest dotąd najlepszy, gdy zatem fabrykanci prochu i gilz pracują nad usunięciem przyczyn złego, to jest nad zredukowaniem szkodliwych wpływów zapału kapiszona, pracują z drugiej strony chemicy, aby zwalczyć działanie złego, t. j., aby pozostałości kapiszona, które wywołują rdzę, usunąć z jaknajmnieszym trudem.

Ponieważ tu chodziło o zneutralizowanie kwaśnych pozostałości piorunianu rtęci, a także i prochowych gazów, które łącząc się z tlenem i wodą, prędko na żelazie i stali wywołują rdzę, wytworzono w ostatnich latach mnóstwo środków, które w ostateczności miały na celu dodawanie do tłuszczów lub olejów pierwiastków mających neutralizować kwasy. To było konieczne, ponieważ czyste oleje, lub tłuszcze jako ciała neutralne, nie mogą neutralizować kwaśnych produktów osadu, a olej lub tłuszcz, któryby działanie to wykonywał, musi reagować alkalicznie, aby przez swoją alkaliczność kwasy rozpuszczać.

Cervin, Nitrol, Curol, Ferruginol, Ballistol i inne środki, są to oleje, lub tłuszcze odpowiednio preparowane. Wszystkie te środki wymagają jeszcze znacznej mechanicznej pracy dla usunięcia szkodliwego działania pozostałości kapiszona, nie wyłączając możliwości rdzewienia, pomimo doskonałego oczyszczenia i nasmarowania luf. Najlepszym z tych środków był Ballistol, chociaż i ten nie spełnia zadania, jeżeli wynalazca każe co 6 dni do luf zaglądać, aby się przekonać, czy rdza się nie tworzy.

W 1913 roku firma „Wilh. Pauling & Schrauth" Lipsk — Lindenau nadesłała do Niemieckiego Instytutu do zbadania nowy środek, który dowodzi, że zrobiono nowy krok naprzód, i to nietylko ze względu na uproszczenie manipulacji czyszczenia luf po użyciu prochów małodymnych, ale także na niszczenie zgubnych wpływów, jakie wywiera na rdzewienie luf silny ładunek piorunianu rtęci w kapiszonie.

Nowy ten środek nazywa się „Pofrol" — nie jest ani tłuszczem ani olejem, lecz tylko środkiem do czyszczenia luf po strzelaniu. Nie może być używany do tłuszczenia, lub oliwienia luf, lub części broni lub zamków.

Pofrol nie usuwa rdzy, **zabezpiecza natomiast stanowczo lufy od rdzewienia;** używać go można do wszelkich broni, i po użyciu wszelkich prochów.

Tłuszcze i oleje mają wogóle tę wadę, że pozostałości kapiszona i prochów w lufie, które rdzę wywołują (a które ani w tłuszczu ani w oleju się nie rozpuszczają) najwyżej emolsjonują — to znaczy, że pierwiastki, dodawane do tłuszczów i olejów przy zetknięciu z pozostałościami kapiszona nadzwyczaj słabo je neutralizowały, a myśliwy musiał wiele trudu sobie zadać, aby mechaniczną, parokrotnie powtarzaną pracą osiągnąć to, czego dany środek nie mógł dokonać.

Tę lukę ma wypełnić Pofrol doskonale, nie rugując wybornego skądinąd środka, jakim jest Ballistol, mającego służyć do oliwienia luf czystych i części zamków.

EDWARD NIEDZIAŁKOWSKI.

Wyprawa na dziki.

(Dok. Zob. Nr. 13)

Nie opisuję, jakeśmy się cieszyli z pomyślnego obrotu rzeczy, jakeśmy pochłaniali zsiadłe mleko, kurczęta z mizerją, grzybki ze śmietaną, ciastka i pierogi z czernicami ze śmietaną... jak całą noc graliśmy w preferansa z kogutkiem po groszu punkt, jak poznaliśmy nauczycielkę z pałacu, pannę Klotyldę, która, jak nas poinformował gospodarz, miała w posagu autentyczną czaszkę nosorożca, pamiątkę po wuju, cudem uratowaną z rąk bolszewickich... zaś nie miała autentycznych włosów i ząbków.

Skończyliśmy wesołą partyjkę nad ranem.

Kilku myśliwych wyrosło nagle, jak z pod ziemi. Byli to, jak się domyślałem, synowie właściciela dóbr, ich koledzy szkolni i znajomi ich kolegów. Sympatycznego sportsmena z pałacu zauważyłem również.

W oczekiwaniu na furmanki zgrupowaliśmy się u podjazdu.

Kazio wesoło baraszkował, gospodarz konferował z leśniczym, zaś ja obserwowałem młodych adeptów łowieckiej sztuki.

Skondensowana bladość, jako wyraz — powiedziałbym — śmiertelnej rezygnacji, pokrywała ich młodociane oblicza bez puszku i skazy.

Uzbrojeni byli solidnie — zasadniczo w karabiny Berdana i Manlichera starego typu wojskowego. Rozmowy ich o ile zdołałem podchwycić, nacechowane były demoniczną powagą i zrozumieniem doniosłości chwili.

— Brunonie!
— Cicho... co?
— Pożegnałeś się z Zosią?
— Postanowiłem nic jej nie mówić!
— Czyżby?
— Słowo honoru!

— — — — — — — — — — — —

— Brunonie!
— Cicho! — co takiego?
— Dużo wziąłeś naboi?
— Czterdzieści pięć!
— A ja mam całą setkę!
— W razie czego pożyczysz mi!
— Dobrze!
— Ręka?
— Ręka!

Aczkolwiek poranek był ciepły, jak westchnienie panny Klotyldy, przecież uczułem nagły mróz w kościach. U djabła! Sto czterdzieści pięć naboi karabinowych w kieszeniach tych dwóch poważnych wprawdzie i obiecujących młodzieńców!

A tych pięciu jeszcze, którzy stoją i nic nie mówią, ile naboi kryją otchłanie ich kieszeni?

Bardzo cenię młodzież, ale tego rana postanowiłem ile możności korzystać z towarzystwa starszych ludzi! Cudny był poranek, gdyśmy skrzypiącym sznurem bryk ciągnęli ku wyznaczonym terenom.

Jeszcze milczący bór pełen był cieniów i mgieł, zagadek i tajemnic nocy. Pełzały one u stóp niebotycznych jodeł i sosen, wsiąkały leniwie w gęstwinę leszczyn, przypadały ku ziemi, pokrytej wrzosem i wachlarzami paproci, ginęły bez echa...

Wyprodukowanie tego nowego środka do czyszczenia luf miało na celu rozpuszczenie wszelkich szkodliwych pozostałości, dając gwarancję zupełnej neutralizacji tychże. Wodnisty, żółtawy, bezwonny płyn ma być tylko do wnętrza luf używany.

Czyszczenie luf przy pomocy Pofrolu odbywać należy w sposób następujący:

a) Przy pomocy kija składanego przepychamy po strzelaniu przez lufę gałkę suchej waty hygroskopijnej dla wyrzucenia twardych i grubych pozostałości prochu i kapiszona.

b) przepychamy takąż gałkę waty (nie pakuł) nasiąkniętej pofrolem — jeden lub dwa razy.

W ten sposób zabezpieczona broń może czekać spokojnie do następnego strzelania, a ciemny osad, który po kilku dniach lub tygodniach sie utworzy, daje się z łatwością przez czyszczenie usunąć — przyczem lufy dają się oczyścić do absolutnego połysku.

W ten sposób czyszczono w Niemieckim instytucie w ciągu trzech miesięcy pofrolem wszystkie strzelane bronie, po kilku dniach lufy przecierano, i otrzymywały pierwotny wygląd. Lufy karabinów strzelane ładunkami wojskowymi, lufy śrutówek, strzelane najszkodliwszymi prochami, pozostawiano po kilka tygodni bez czyszczenia w powyżej wskazany sposób — i wszystkie lufy po oczyszczeniu były bez zarzutu.

Instytut Niemiecki dał firmie wyrabiającej pofrol bardzo chlubne świadectwo, uznając, że przy łatwości użycia i taniości, pofrol jest najlepszem zabezpieczeniem przeciw rdzewieniu luf, nawet przy użyciu prochów dających osad tworzący rdzę.

Przepchnięcie jednej gałki waty czystej, i jednej nasyconej pofrolem, zastępuje pracę mozolnego czyszczenia, dając gwarancję zabezpieczenia od rdzy; więcej chyba wymagać nie można.

Z powodu wymienionych właściwości pofrol powinien w kołach myśliwskich zyskać wielkie uznanie. I dla armji, zwłaszcza podczas manewrów, gdzie niema czasu na dokładne czyszczenie, środek ten powinien znaleźć najszersze zastosowanie.

Skład chemiczny pofrolu jest nieznany — możliwość szkodliwości jest wykluczona, środek został opatentowany.

W 1913 roku dostałem parę flaszeczek pofrolu; nie wahałem się robić z nim próby na skórze własnego purdey'a, i stwierdziłem wymienione zalety i właściwości, gorąco środek ten uwadze myśliwych lubowników broni polecając.

Zasadniczo przyjąć należy, że nie chemicznie, a **mechanicznie** rdzę trzeba usuwać, a przedewszystkiem do tworzenia się rdzy nie należy dopuścić przez troskliwe czyszczenie luf **zaraz** po polowaniu. Najlepszy i najprostszy sposób czyszczenia luf zalecany dotąd przez Niemiecki Instytut jest następujący:

1) Zaraz po polowaniu przepchać przez lufę kłak czystej waty hygroskopijnej, (ew. lnianych pakuł) przyczem osad prochowy zupełnie prawie znika; 2) przeciągnąć przez lufę kilka razy szczoteczkę szczecinową; 3) przeciągnąć przez lufę puszek nasycony Ballistolem lub podobnym płynem; 4) wytrzeć lufę do sucha.

W 24 godzin po oczyszczeniu należy zajrzeć do luf, zdarza się bowiem, że rdza dopiero później występuje (nachrosten); gdy w 24 godzin po wyczyszczeniu lufy są absolutnie czyste, można o nie być spokojnym. Jeżeli chodzi o konserwowanie luf odpowiednio przygotowanych, (czyli absolutnie czystych) to najlepszym środkiem jest bezspornie chemicznie czysta waselina. Nie będzie to jednak jej winą, jeżeli po wytarciu znajdziemy rdze w lufie; pod warstwą waseliny rdza tworzyć sie może, a waselina przeszkodzić temu nie jest w stanie.

Broń, jakoteż wszystkie zresztą przybory do

W górze różowiły już pnie drzew od dalekiej zapowiedzi słońca, a leciuchny wiaterek, słusznie zwany zefirkiem, przetrząsał już sklepienia konarów, budząc śpiące ptactwo. Jakoż ozwała się pierwsza zwrotka gila, dzięcioł zaczął na wzór lekarza opukiwać zmurszały bok starej jodły, jastrząb zwolna przypłynął na dalekie grabieże, a kukułka komuś tam przepowiadała poważniejszą ilość potomstwa.

W pewnem miejscu, wśród zwartych zagajników, wysiedliśmy w milczeniu i szliśmy gęsiego wązką drożyną.

Naraz prowadzący nas leśniczy przystanął i nachylony, długo badał coś na bielejącym piaszczystym szlaku. Skupiliśmy się natychmiast dokoła niego.

— Maciora z warchlakami przeszła na Czarnowodę — szepnął do gospodarza — tak, jak mówiłem! Naganka już na miejscu! Proszę panów za mną!

Na taką wiadomość wszyscy, jak jeden mąż, spojrzeli po sobie i poprawili broń na ramieniu. Chwila była brzemienna! Młodzi ludzie zaczęli wyciągać z kieszeni naboje...

Szliśmy i szliśmy...

Goniłem już resztkami sił i pot zalewał mi oczy, nogi grzęzły w piasku, a ciężka kniejówka piłowała ramię w sposób bezlitosny.

Takie to są skutki dwóch bezsennych nocy!

Wreszcie leśniczy zaczął nas rozstawiać na przygotowanych stanowiskach.

Mój przyjaciel, któremu wypadło stanąć tuż za mną wśród nizkich krzaków, nie zgodził się na to kategorycznie.

Przekładał coś, tłomaczył... aż odszedł z leśniczym, żywo gestykulując.

Domyśliłem się, że chodziło mu o uzyskanie stanowiska wśród starodrzewiu.

Była to prosta konsekwencja wiadomego trainingu.

Wypadło mi stać na małej polance otoczonej zielonym wieńcem brzózek.

Z lewej strony pewien młodzieniec majstrował coś przy karabinie, z prawej zaś tkwił poważny „Pan Brunon". Dostałem ataku melancholji. Odpadły gdzieś resztki sił fizycznych i duchowych. Odłożyłem broń, rozciągnąłem się na wrzosowisku i niemal natychmiast usnąłem. Jeszcze dobiegło mię z lewej strony:

— Hop! Panie, czy pan mię widzi?

Odpowiedziałem mu w myśli z gorzkim uśmiechem...

Rozbudziły mię głośne wrzaski: — pilnuj! pilnuj! — i towarzysząca im kanonada.

Grzmiały suche, urywane strzały manlicherów, pełne odgłosy strzelb myśliwskich, daleka wrzawa naganki, dudnienie nóg, czy kopyt.

Obok mego „legowiska" przebiegł blady młodzieniec, gorączkowo wyciągając z kieszeni i gubiąc po drodze naboje.

Słysząc wołania — pilnuj! — dążył co sił w kierunku zagrożonej pozycji — dążył, aczkolwiek nogi odmawiały posłuszeństwa jego bohaterskim porywom.

Gdzieś blisko już naganka wyczyniła taki przeraźliwy wrzask, jakby każdy jej członek był obdzierany ze skóry conajmniej przez dwa tygrysy.

Leżałem w dalszym ciągu, bo i wściekła kanonada karabinowa trwała bezustannie. Kule ze świstem i chichotem torowały sobie drogę wśród krzaków.

polowania porządny myśliwy powinien mieć w wykwintnym porządku, i zawsze w pogotowiu, i niewiele trzymam o myśliwym, który do kochanej swojej broni często nie zagląda, aby ją popieścić, z nią się złożyć, i upewnić, czy nie trzeba czegoś przetrzeć, naoliwić i t. p. Myśliwy, który chce trzymać broń w wykwintnym porządku, winien mieć w pudle od broni: kij składany, a do niego: szczoteczkę szczecinową, szczoteczkę mosiężna trzyrzędową i puszek do tłuszczu, oprócz tego: oliwiarkę, watę hygroskopijną, a nadto ściereczkę i krótką szczotkę szczecinową. Ściereczką trzeba w razie deszczu lub śniegu wytrzeć broń do sucha, szczotką usunąć kurz i brud z zewnętrznych części zamków, baskili i czółenka.

Po sezonie należy zawsze broń odesłać do zaufanego puszkarza, który zajrzy do zamków, i zbada stan i działanie ich wszystkich części oraz baskili.

Bronie moje utrzymywane były zawsze we wzorowym stanie; nigdy jednak broni po dokładnem wyczyszczeniu nie smarowałem, wiedząc, że pod każdym tłuszczem rdza formować się może, a warstwa tłuszczu przeszkadza mi widzieć, co się w lufie dzieje.

EMIL KARNEY.

POINTER.

Jego wychowanie, tresura, choroby i leczenie.

(Zob. Nr. 13.)

A. UKŁADANIE DOMOWE.

Nabywszy kilkotygodniowego pointerka, należy, jak to już powyżej zaznaczyłem, wziąć się natychmiast do jego dobrego wychowania, a im wcześniej do tego przystąpimy, tem łatwiej wszystko nam pójdzie!

Przedewszystkiem po otrzymaniu szczenięcia, nadajemy mu imię i wyznaczamy od pierwszej zaraz chwili, ustronny w pokoju kącik, z odpowiednio naszykowanem legowiskiem, by nam się pomiędzy nogami nie plątał i nie zawadzał. Najodpowiedniejszem dlań legowiskiem, to płaska skrzynka drewniana, o niskich nóżkach, wysłana wewnątrz sienniczkiem, najmniej raz tygodniowo przepieranym i świeżą słomą nakładanym. Gdy z pieskiem ze spaceru do domu wrócimy, rozkazujemy mu iść zaraz do skrzynki, z której wyjść wtedy dopiero mu wolno, gdy go zawezwiemy.

1. Czystość pokojowa.

Młodego pieska trzeba dość często na dwór wyprowadzać, by dowoli mógł się wybiegać i przy tej sposobności swoje naturalne potrzeby załatwić, a to w celu przyzwyczajenia go zawczasu do czystości pokojowej, do której przywykają młode pointerki dość prędko, tak, że wkrótce same dopominają się natarczywem skomleniem, by je na dwór wypuścić.

Zwracajmy więc, z samego zaraz początku baczną uwagę na naszego wychowańca, by do zabrudzenia podłogi wogóle nie dopuścić. Obserwujmy go pilnie, zwłaszcza, gdy się przebudzi, a gdy niespokojnie po pokoju kręcić się pocznie i wreszcie przysiąść zamierza, wtedy krzyknąwszy nań groźnie, chwytamy go za kark, wymierzamy mu kilka lekkich klapsów i wynosimy go jaknajprędzej na dwór.

Łatwo przeprowadzać to można we dnie, gdy psiaka mamy na oku, trudniej jednak dopilnować go w nocy, a dlatego nie dawajmy mu żadnego je-

---

Znów przebiegło dwóch młodzieńców: jeden sadził bez czapki i karabina, drugi wprawdzie z karabinem, ale też bez czapki.

Posłałem im w duchu życzenia szczęśliwego finishu w tym biegu ku bryczkom!

Gdy wreszcie strzały ucichły, wstałem i poszedłem w kierunku głosów.

Właśnie z zagajników wyłoniła się zbita w gromadę, scementowana strachem, naganka, a w końcu gajowy z kapiszonówką, odrutowaną, jak stary garnek. Minę miał wielce strapioną.

— Co tam?

— Aj... żeby nie klapnęło, psiajucha, tobym go miał!

— Niby kogo?

— Ano... dzika! Jak panowie „zaczeni" walić, to ten zawrócił nazad i prosto mi pod nogi. Strzelba nabita jeszcze w zimie... choć ta i podsypałem prochu — klapnęła i już!

— Olaboga! ktoś głowę zgubił — krzyknął nagle, podnosząc czapkę.

Po chwili nadszedł leśniczy z gospodarzem, niosąc drugą czapkę i karabin.

Troska malowała się na ich obliczach.

— Czy niema rannych — broń Boże? — zapytał gospodarz.

— Zdaje się — nie!

— Chwała Bogu! Maciora przeszła obok pana Brunona, a warchlaki motały się po stanowiskach tych.... takich samych warchlaków! Ci walili bez pamięci, celu i zastanowienia! Psiakrew!... Cały czas leżałem na ziemi!

— I ja też — odparłem.

— I ja — powiada leśniczy, ale ten pan Kazimierz — ten tęgi, co z panem przyjechał — dobrze się spisał!

— No?

— Koniecznie uparł się, aby stać w dużym lesie, a że braliśmy zagajniki od dużego lasu, to pan Kazimierz stanął sobie na tyłach naganki pod sosną.

Jeden warchlak zawrócił, przedarł się przez linję naganki....

— A to ten, co mi do niego klapnęło — wtrącił gajowy, drapiąc się w głowę.

— Pan Kazimierz kropnął raz: dzik siadł na zadzie — widać w grzbiet dostał — później poprawił i basta!

Już go tam poproszą. Ładny wycinek! Samczyk!

— Możebyśmy wzięli jeszcze ten miot od suchowolskiego pola do drogi... może być koziołek — zaproponował gospodarz.

— Ja z przyjemnścią.... tylko....

Gospodarz się uśmiechnął

— Niech pan będzie spokojny: oni są już w domu.... ale niech pan, panie Kownacki — zwrócił się do leśnika — zatrąbi „pro forma"!

Po chwili czyste, metaliczne dźwięki pobiegły w knieję, rozperliły się na tysiączne okruchy — to ginące, to powracające, echem wzmożone... aż ucichły gdzieś na krańcach lasów.

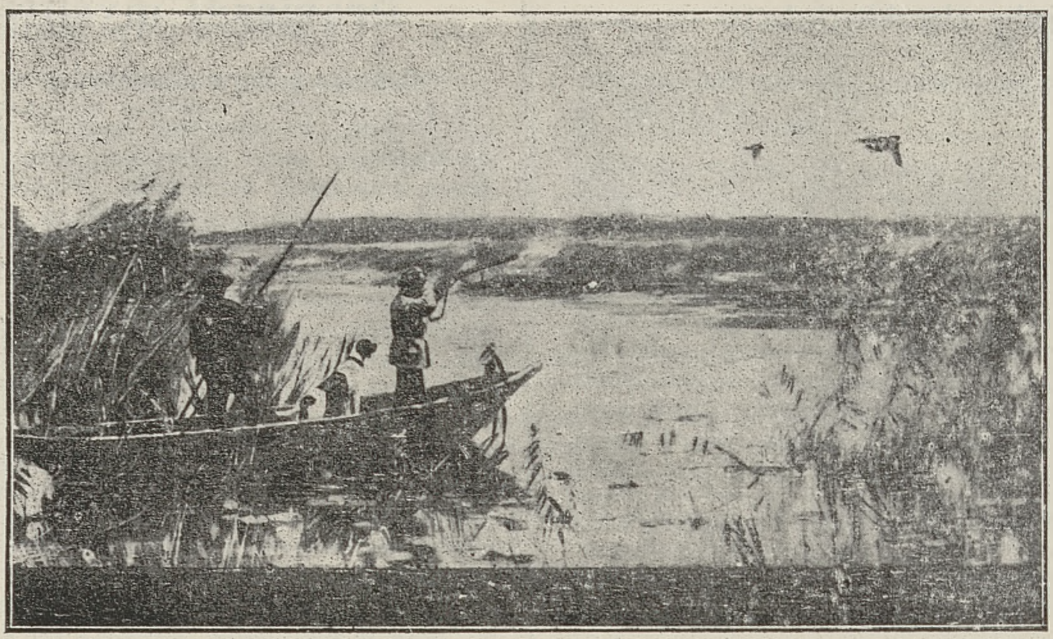
Nic to jednak nie pomogło.

„Wzięliśmy" miot we trzech. Nie było w nim żywej duszy.

Powróciliśmy do bryczek. Młodzi panowie odjechali już byli do domu, a Kazio chrapał, jak najęty, mając wycinka pod siedzeniem bryczki. Istotnie zmieścił się wygodnie!

Pojechaliśmy na śniadanie i dalszą partyjkę preferansa z panną Klotyldą i gościnnym gospodarzem....

Zamość, 4.IX.1925 r.



NA STAWIE.

dzenia już po godz. 4-ej po południu i przed spaniem wyprowadzajmy go wpierw zawsze na dwór. Gdy w ten sposób postępować będziemy, to psiak do rana zazwyczaj wytrzyma, chyba, że cierpi na jaką dolegliwość żołądkową, która go do nieporządku zniewoli.

Gdyby jednak, z powodu naszej nieuwagi, do zabrudzenia podłogi doszło i gdy stanie się to w oczach naszych, wtedy chwytamy przestępcę natychmiast za kark, zbliżamy nos jego do popełnionego, brzydkiego uczynku i ukarawszy go lekkiem uderzeniem bata, wynosimy ostentacyjnie na dwór, gromiąc go po drodze, słownie, za popełniony nieporządek. W ten sposób wskazujemy pieskowi właściwe miejsce, gdzie potrzebę swoją załatwiać może i powinien.

Gdy zaś zauważymy przewinienie to po dokonanym już znacznie wcześniej fakcie, t. j. gdy psiaka na gorącym uczynku nie przyłapiemy, postąpilibyśmy wtedy wcale **niepedagogicznie**, gdybyśmy go za to ukarać mieli, psiak bowiem nie pojmie oczywiście, za co właściwie ukarany został.

2. Warowanie.

Gdy młody pointer należycie pojmie, że na groźnie wyrzeczone słowo „waruj!" winien natychmiast przypaść do ziemi, wtedy osiągnęliśmy już, pod względem jego ułożenia, bardzo znaczny, a zarazem nadzwyczaj ważny dla nas sukces.

Pointer, który rozkaz powyższy, już w swej wczesnej młodości spełniać się nauczył, nie będzie nigdy gonił za zającem, nie będzie bał się strzału i nie odmówi nam swego posłuszeństwa, pan jego bowiem, tem jednem, groźnie wymówionem słowem, ma go w swej mocy **zawsze i wszędzie**.

Gdy więc młode szczenię samodzielnie myśleć i kombinować zaczyna, co już w 8-m tygodniu jego istnienia zazwyczaj się zdarza, w tym więc wieku śmiało już można, **a nawet należy** przystąpić do nauki warowania. Naturalnie jednak nie za pomocą bolesnych korali, bata, lub innych srogich narzędzi, bez których obejść się trudno podczas nauki psów starszych i krnąbrnych, lecz za pomocą najniewinniejszego środka, a pieskowi naszemu nadzwyczaj miłego, w postaci

miseczki z jedzeniem

dlań przygotowanem.

a. „Waruj!".

Gdy psiak nadobre jeść już zaczyna i na apetycie mu nie zbywa, wtedy stawiamy mu przed nosem, znaną mu już dobrze miseczkę ze smakowitem jedzeniem, w chwili zaś, gdy do jedzenia z żarłocznością zabrać się zamierza, łapiemy go delikatnie za kark i układamy go na podłodze, przed samą miseczką, w prawidłowej warującej pozycji, t. j. aby leżał wyciągnięty na brzuchu i trzymał łeb pomiędzy przedniemi wyciągniętemi łapami. Jednocześnie wymawiamy ostro owo magiczne słowo „waruj!!", przytrzymując psiaka, lekko, w powyższej pozycji.

Narazie owa niemiła przygoda nieco pieska przerazi, puszczamy go więc zaraz, chwalimy i do miseczki podejść i jeść pozwalamy.

W ten sposób postępujemy przy **każdorazowem karmieniu** pieska w ciągu 5—8 dni, poczem już szczenię dobrowolnie czynność tę wykonywać zacznie, a następnie, na sam już widok smakowitej strawy, bez wszystkiego prawidłowo przywaruje.

Jednego jednak do tego koniecznie potrzeba, t. j. abyśmy uzbroili się w należytą cierpliwość i przynajmniej w ciągu mniej więcej 4-ch tygodni codziennie 3—4 razy, osobiście psiaka swego karmili, **nie** powierzając bezwarunkowo tej funkcji, swej domowej służbie, która oczywiście co innego ma do roboty, niż uczyć psa warowania. Jest to poniekąd dość subjekcjonalne i dla niejednego z myśliwych wyda się arcy - zmudnem, lecz jak w tym wypadku, jest to **konieczne**, by w możliwie jaknajkrótszym czasie, jaknajlepsze wyniki osiągnąć, o co przecież każdy zamiłowany myśliwy starać się powinien i dla takich właśnie myśliwych niniejsze słowa umyślnie skreślam.

Mniejwięcej po 4-ch tygodniach przeprowadzania podobnych ćwiczeń, należy warowanie stopniowo przedłużać i dopiero na rozkaz „naprzód!" pozwolić pointerkowi podnieść się z warującej pozycji i do miseczki podążyć.

b. „Naprzód!".

Na rozkaz ten podnosi się psiak raźnie i do swej miseczki podąża. Stopniowo powiększamy co raz to więcej odległość pomiędzy miską z jedzeniem, a psiakiem. Stawiamy ją wreszcie w samym już kącie pokoju i rozkazujemy psiakowi, gdy tylko przez drzwi do pokoju tego wejdzie — przywarować, a następnie, po wyrzeczonem przez nas słowie „naprzód!", podejść do miski.

(C. d. n.)

Listy do Redakcji.

Do Szanownej Redakcji „Łowca Polskiego"
Nowy-Świat Nr. 35.

W N-rze 10 — 11 „Łowca Polskiego" z b. r. pod tytułem „Uwagi Redakcji" do artykułu „Nieco o Broni", znalazłem między innemi notatkę, uwłaczającą firmie J. Nowotny.

Otóż twierdzę, że posiadając na składzie dużą ilość broni myśliwskiej firmy J. Nowotny wszelkiego rodzaju, jak sztucery dubeltowe z eżektorami i bez eżektorów, trójlufki i inne, będąc zaś mistrzem cechu rusznikarskiego, a jednocześnie i myśliwym, jestem zupełnie zadowolony z nich, jak również wszyscy klijenci, którzy wiele tych broni nabyli w ciągu ostatnich lat, uważając je za pierwszorzędne pod każdym względem. Nie rozumiem więc, czem powodowała się Redakcja „Łowca Polskiego", krytykując w tak ogólnikowy, a tem samem nieodpowiedni sposób firmę J. Nowotny w Suhl.

Prosząc o pomieszczenie powyższego jako sprostowania, pozostaję

Z poważaniem
Cz. Lisowski.
właściciel składu broni f. J. Sosnowski
w Warszawie.

Wykazy myśliwskie.

Wykaz zabitej zwierzyny w dobrach „Lipie" pow. Częstochowskiego w roku myśliwskim od 1.III. 1925 do 28.II. 1926.

Na terenach dóbr Lipie padło:

Zwierzyny łownej:

1 jeleń dziesiątak, 3 sarniki, 130 bażantów kogutów, 341 zajęcy, 270 kuropatw, 27 kaczek, 3 nurki, 12 bekasów, 1 dubelt, 7 cietrzewi, 3 słonki, 2 przepiórki, 403 króliki.

Drapieżników:

7 lisów, 8 tchórzy, 27 psów, 37 kotów, 38 łasic, 121 wiewiórek, 48 jastrzębi, 28 srok, 45 sójek, 274 wron.

Na terenach dzierżawionych padło:

44 zające, 7 królików, 209 kuropatw, 8 przepiórek, 1 bażant, 1 cietrzew. **Razem 2106 sztuk.**

SPROSTOWANIE.

W związku z „Uwagami Redakcji" pomieszczonemi na końcu artykułu „Nieco o Broni" w Nr. 10-11 z b. r. naszego pisma firma „Fr. W. Heym" w Suhl nadesłała nam list, w którym protestuje przeciwko treści tych uwag.

Okazuje się, że spadkobiercy Fr. W. Heyma są w zgodzie ze sobą.

Wobec tego nieścisłość tę prostujemy; jednocześnie chętnie przyjmujemy do wiadomości, że wyroby synów w niczem nie ustępują słynnym wyrobom założyciela firmy Fr. W. Heyma.

Redakcja.

Drobiazgi myśliwskie.

Ochrona ptaków drapieżnych w Niemczech.

Wskutek bezmyślnego tępienia w ciągu kilku dziesięcioleci, ptaki drapieżne zaczęły być w Niemczech prawdziwą rzadkością. To też w celu uchronienia ich przed zupełną zagładą wydane zostały specjalne prawa ochronne (z dnia 30 maja 1908 r. i z dnia 30 maja 1921 r.). Według praw tych bezwzględnej ochronie podlegają: orzeł przedni, orzeł bielik, krótkoszpon gadożer, orlik krzykliwy, myszołów, pszczołojad, kanie, błotniaki, pustułka, kobczyk, kobuz, sokół wędrowny, kruk i wszystkie sowy.

Działające w całych Niemczech „Towarzystwo Ochrony Ptaków", chcąc doprowadzić ilość drapieżników do pożądanego stanu wydaje specjalnego rodzaju nagrody w wysokości od 5 do 30 marek. Nagrodę taka otrzymać może każdy właściciel polowania, względnie leśniczy lub strzelec, w rewirze którego w danym roku gnieździła się i wyprowadziła młode, para drapieżników, należąca do któregoś z wyżej wymienionych gatunków.

Ostrożnie ze strzelaniem kulami

Donośność strzałów kulowych, szczególniej ze sztucerków małokalibrowych jest przez większość strzelających niedoceniana, co było już niejednokrotnie powodem wypadków i to śmiertelnych. Niedawno zdarzył się w Niemczech wypadek, że chłopiec strzelający z gwintowanego floweru do wróbli zabił kobietę pracującą w polu, w odległości 350 metrów. Kula weszła do jamy ciała między żebrami i przebiła wątrobe; śmierć nastąpiła po trzech dniach. Chcąc zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo nieostrożnego obchodzenia sie ze sztucerkami małokalibrowemi, podajemy poniżej donośność pocisków z broni małokalibrowej.

Kal. 22,	krótki	— 700 — 800	metrów
„ „	długi	— 800 — 900	„
„ „	„long - rifle"	— 1200 —1300	„
„ „	„ekstra - long"	— 1300 —1400	„

Przy sposobności podajemy donośność sztucerów większych kalibrów, cetralnego ognia. Pocisk mauzerowski 88/8 wystrzelony pod kątem 32° leci na odległość 4000 metrów, wystrzelony w płaszczyźnie poziomej iest niebezpieczny na odległość 3000 metrów. Strzał z kalibru 9,3×72 jest niebezpieczny na odległość 2500 metrów.

Co się tyczy strzałów śrutowych, to śrut wystrzelony pod katem 20 — 30° dochodzi do następujących odległości:

średnica śrutu	2 mm.	— 150	metrów
„ „	2½ „	— 200	„
„ „	3½ „	— 250	„
„ „	4½ „	— 300	„

Niedźwiedzie w Estonii.

Z Rewla donoszą, że w Estonji pojawiły się niedźwiedzie. Ministerstwo rolnictwa wydało nakaz przeprowadzenia polowań w lasach państwowych. Na jednem z nich zabito okaz, ważący 16 pudów.

Wilki pod Moskwą.

W okolicy Moskwy szerzą spustoszenia gromady wilków. Włóczą się one po lasach i drogach i rzucają na podróżnych i na bydło. W guberni moskiewskiej rozszarpały wilki kilka tysięcy sztuk bydła i 120 ludzi. Mieszkańcy są bezradni, bowiem nie posiadają broni, zabranej przez władze w obawie chłopskich rozruchów.

Londyński ogród zoologiczny.

Ogłoszone niedawno sprawozdanie z działalności Tow. londyńskiego ogrodu zoologicznego za rok 1924-ty, wykazuje, że w roku tym zwiedziła ogród olbrzymia liczba 1.823.613 osób, które zapłaciły za wejście do ogrodu 58. 596, a do akwarjum 16.248 funt. sterl. W ciągu tego roku zbiory ogrodu powiększyły się o lwa morskiego, pumę, 2 indyjskie psy dzikie, 3 mangusty, 9 antylop, renifera, kianga (dzikiego osła), bizona, lamę, lemura, 2 kangury, 17 dzikich kóz i owiec, 60 gryzoniów i mnóstwo egzotycznych szczurów, myszy, świnek morskich, królików i małp. Już z samych tych nabytków możnaby utworzyć pokaźny ogród zoologiczny!

—o—

PRENUMERATA: roczna wynosi 20 zł., półroczna — 11 zł., kwartalna — 6 zł. Numer pojedyńczy — 1 zł. 20 gr.
CENA OGŁOSZEŃ: Cała strona zł. 120; pół. — 70; ¼ — 40; ⅛ — 24; 1/16 — 12. Pierwsza i ostatnia strona — o 50% drożej.
(Pierwsza strona liczy się bez kliszy tytułowej.)

Redakcja zastrzega sobie swobodę czynienia poprawek i skrótów rękopisów nadsyłanych, oraz nie zwraca tychże.
Redaktor i jego zastępca przyjmują w środy od g. 6 do 7 wiecz. w lokalu redakcyjnym.

ADMINISTRACJA NASZEGO PISMA

prosi uprzejmie PP. Prenumeratorów o przysyłanie pieniędzy na konto P. K. O. „Centr. Związek P. Stow. Łow. Nr. 80 — 82“ lub do redakcji pod adresem: „Łowiec Polski, Nowy Świat 35“, gdyż to daje jedynie gwarancję regularnego otrzymywania pisma.

KONTO ZWIĄZKU P. K. O. 8082. ADRES: NOWY - ŚWIAT Nr 35. TELEFON 7-98

Redaktor: Jan Sztolcman. Wydawca: Centralny Związek Polskich Stow. Łowieckich.

Druk Zakł. Druk. W. Piekarniaka Ordynacka 3, tel. 44-59.